

Od rzemieślnika do przedsiębiorcy

W rodzinnej firmie Frankowskich

W przedwojennej i tuż powojennej Łodzi, przy Piotrkowskiej 80 mieścił się tapicerski warsztat usługowy Kazimierza Frankowskiego. W jego zakładzie terminowało dwóch spośród czterech synów. Najmłodszy, Lechosław, też szykowany był na rzemieślnika, zastanawiano się tylko w rodzinie jaki zawód ma wybrać. A że vis à vis zakładu ojca miał swój warsztat Edward Głqb, jedyny w Łodzi prywatny wytwórca neonów, więc Ka-



zimirz Frankowski zaprowadził do niego syna i kazał terminować. Edward Głqb przyjechał do Łodzi jako repatriant; we Lwowie robił neonowe reklamy, więc i w Łodzi zaczął to samo. Znał się na swoim rzemiośle. Produkował zresztą i inne rzeczy ze szkła.

– Okazało się, że ten przypadek był dla mnie bardzo szczęśliwy. Wszystko, co działo się w tej niewielkiej przecież wytwórni szkła, bardzo mnie interesowało. Tam nauczyłem się solidnych podstaw obróbki szkła laboratoryjnego. To były trzy lata porządnego terminowania – wspomina Lechosław Frankowski.

Po śmierci mistrza Głqba zakład padł, a czeladnik Frankowski za-

trudnił się w spółdzielni „Labmed”. To była też dobra szkoła zawodu. Cóż tu mówić, na dobre rozmiłował się w swoim zawodzie. Do dziś ma za dobre ojcu, że zaprowadził go za rękę do zakładu pana Edwarda Głqba. Zaocznie skończył Technikum Szklarskie w Wołominie, zresztą słynnym mieście szklarzy. Posiadł dyplom formierza szkła laboratoryjnego. Uczył się cały czas, im dalej, tym większą żądzę wiedzy przejawiał. Wydawało mu się, że dziedzinę pod tytułem szkło laboratoryjne i techniczne można zgłębiać bez końca. To akcesoria do wyposażenia laboratoriów, to neony, to termometry, to dmuchane bańki... Dopiero po wielu latach praktyki pan Lechosław Frankowski stwierdził, że szkło nie przedstawia dla niego żadnej tajemnicy, że najbardziej skrytą wiedzę można dziś przekazywać własnym synom...

NA WŁASNYM

We wrześniu 1981 roku, pamięta to dokładnie, bo rzecz się miała akurat na trzy miesiące przed stanem wojennym,

postanowił rozpocząć działalność na własny rachunek. Dwóch małych synków mobilizowało go do zarabiania przyzwoitszego grosza i tworzenia czegoś z myślą o przyszłości. Na starcie miał kapitał w postaci dwóch rąk i głowy na karku.

W wynajętym pomieszczeniu rozpoczął tę własną działalność od produkcji akcesoriów do akwariów. Krok po kroku zdobywał rynek. Zatrudnił pracownika, wziął na naukę ucznia. Rozszerzał zakres produkcji, gdyż taka była potrzeba chwili. Okres stanu wojennego sprzyjał rozwojowi produkcji. Fakt, że człowiek miał duszę na ramieniu, ale szklane kolby i fiki szły jak woda, zamówienia handlu rosły. Wiadomo, czas regulacji alkoholu i papierosów.

Ciasno robiło mu się w małym, wynajmowanym pomieszczeniu. Myślał o kupnie działki, o budowie domu. Do tej pory niczego własnego nie posiadali, z wyjątkiem marzeń. Pod koniec lat osiemdziesiątych udało się państwu Frankowskim zebrać pieniądze na kupno działki i budowę zakładu, żeby być wreszcie na swoim. Pan Lechosław dwoił się i troił, brakowało mu doby (żona twierdzi, że ta „choroba” nie przechodzi mężowi do dziś), zatrudnił najpierw kilka osób, z czasem kilkanaście. Ciągłe kształcił uczniów.

– Wyzwolilem do tej pory chyba sześciu czeladników. Sądję, że potrafię przygotować młodych ludzi do zawodu. Ukończyłem kurs pedagogiczny, zasiadam w komisji kwalifikacyjnej przy Cechu. Potrafię powiedzieć, kto naprawdę nadaje się do tej specyficznej branży. Potrzeba w niej dużo manualnych zdolności.

I SĄ NASTĘPCY

W wytwórni szkła laboratoryjnego i technicznego państwa Frankowskich jest dość miejsca na wiele rodzajów produkcji ze szkła. W oddzielnych pomieszczeniach produkuje się neony, termometry, szeroki asortyment dla laboratoriów akademickich i szkolnych, bombki na choinkę. Od kiedy fabryka zaczęła się dobrze kręcić, pani Daniela przestała pracować zarobkowo, wystarczy i dla niej pracy w zakładzie rodzinnym. Państwo Frankowscy zatrudniają 15 osób, zawsze posiadają co najmniej dwóch uczniów.

Najważniejsze, że mają już pomoc ze strony własnych synów. Tak umiejętnie pokierowali życiem swoich następców (na szczęście bez specjalnego nacisku), że obydwaj, i Adam, i Łukasz, będą kontynuowali rodzinny, rzemieślniczy ród. Już od czterech lat starszy, Adam, posiada własną firmę, pod jednym dachem z ojcem. Jego domeną są neony, skończył przecież Technikum Elektryczne. Zresztą znakomi-

cie uzupełniają się z ojcem. Obydwaj, w każdej chwili mogą zastąpić każdego nieobecnego w pracy. Znają bowiem swój fach od podszewki.

– Ale jednocześnie strzeżemy pewnych tajemnic naszej produkcji. Nauczeni doświadczeniem, staramy się nie powierzać ich nikomu. Mają swoje tajemnice cukiernicy, zielarze, mamy i my... Stąd ciągle obecność w zakładzie przynajmniej jednego członka rodziny jest wręcz konieczna.

– O mężu mogę powiedzieć, że jest po prostu pracoholikiem. Ostrzegam, żeby nie podnosił zawodowej poprzeczki, nie rozszerzał produkcji, żeby trochę odpoczął, ograniczył przynajmniej tempo. Mówi, że rynek wywiera presję, że konkurencja. Faktycznie, czasy są diametralnie różne od tych sprzed kilku lat. Kiedyś np. odbierano towar w zakładzie, dziś handel jest panem...

Na szczęście, dorasta młodszy syn, Łukasz. Jest na drugim roku marketingu i zarządzania, ale już angażuje się w prace firmy. Stopniowo przejmuje obowiązki reklamy, sprzedaży, kontaktów z klientami. Teorię zdobywa w wyższej szkole, praktykę – w rodzinnym zakładzie. Bardzo dobrze obsługuje także komputer.

– Łukasz jest naszym prawnym przedstawicielem. Wszyscy bardzo liczymy się z jego zdaniem. Jest odpowiedzialny, pracowity. Każdy wolny czas poświęca kontaktom z klientami.

Obydwoje rodzice nie kryją radości, że synowie wyrosli na godnych następców, że „czują” specyfikę fabryki, jej wielkość. Lechosław Frankowski nie ukrywa też, że to właśnie najbardziej go motywuje, że pracując tak wiele, nie czuje zmęczenia. A przecież, gdy rozpoczął działalność na własny rachunek, nie przypuszczał, że z rzemieślnika stanie się prawdziwym przedsiębiorcą.

Anna Orzechowska